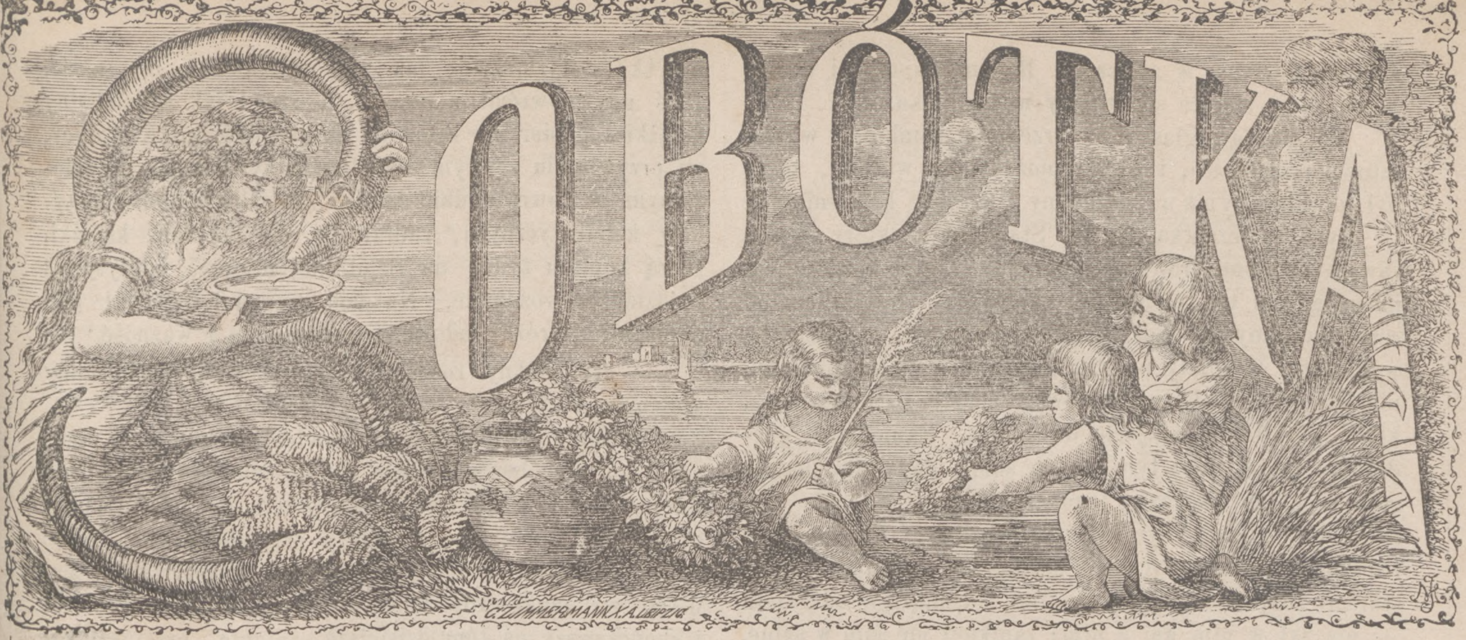



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 46. Poznań, dnia 12 Listopada 1870. Rok II

# Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

**J. K. Turskiego.**

(Ciąg dalszy).

VIII.

### Wróżby i prognostyki.

Wprowadzam w tym rożdziale czytelnika do izdebki przypominającéj poniekąd dawne czasy zagorzałych fanatyków alchemii i badaczów tajemnic przyszłości. Izdebka ta znajduje się w chacie pod strzechą, na tak zwaném Półwsiu zwierzynieckiém, na samym końcu długiego szeregu chat, lepianek i domów nawet murowanych, u stóp góry świętéj Bronisławy. Należy do wieśniaka Grzywy, a zamieszkaną jest przez człowieka, którego wszyscy mają za czarodzieja, którego dzieci się boją wiejskie, a bogobojniejsze niewiasty zażegnywają krzyżem świętym. Człowiek ten, w saméj rzeczy dziwaczny, mieszka już od pół roku u Grzywy, za komorne uczy mu dzieci na książce, a bywając raz w tydzień tylko w mieście, po całych dniach zamknięty przesiaduje w swojéj izdebce. Ale właśnie do téj izdebki zajrzyjmy. Rozmiarami jest ona nie wielka, ale charakterystyką zdradza jakieś niezdrowe usposobienie umysłu swego mieszkańca. Oto zaraz za progiem jéj, po jednéj i drugiéj stronie drzwi, stoją dwa skielety ludzkie — niby owi żołnierze przy grobie Pańskim — sztywni i przerażający martwotą, z wyciągniętemi naprzód rękoma — niby na powitanie każdego, ktoby się odważył ich pana odwiedzić. Daléj — pod niskim o maleńkich szybkach okienkiem, stolik zieloném suknem nakryty, a na nim cztery stosy do góry ustawionych kart — stolik to kabalistyczny. Na środku izdebki drewniane koło przymocowane na osi do podłogi, i obracające się za poruszeniem okręgu podzielonego na kilkadziesiąt numerów. Wzdłuż ściany ustawione szafki z księgami o czerwonych brzegach, w żółtéj skórzanéj oprawie — jedna zaś z nich maleńka ze szklannemi drzwiami mieści w sobie jakiś drogocenny talizman, bo szczelnie zamknięta i najkunsztowniéj oprawna. Łóżeczko skromne, — stolik przy niém zwyczajny — i stołek jeden prosty, góralski. Na ścianach nadto porozwieszane obrazy najsłynniejszych wróżbitów i wróżbiarek, owczarzy i jasnowidzących. — Majątku ni garderoby nawet nie widać nigdzie, pod tym względem gospodarz filozoficznie żyje i urządza. — Lecz któż nim jest, zapytacie się może? Oto szczęście zdarza, że właśnie powraca z miasta — otwiera izdebkę zamykaną na kłódkę — wchodzi, składa na stoliku przy łóżku książkę z librą papieru — i zaraz potém zwraca się do owéj najkunsztowniejszéj szafeczki. Otwiera ją — dotyka się rzeczy w niéj schowanéj z pewną czcią i uszanowaniem — i przemawia słowa, po których go zapewne poznacie.

— A! witaj mi, witaj, miły meblu mój, widziałem dziś twoję matkę — zdrowa — kazała ci się kłaniać — pragnie jak najprędzéj ujrzeć cię u siebie, i przycisnąć do swego łona. Ale czekaj, bądź cierpliwy, w tych dniach dowiemy się z pewnością, jak długo trwać będzie nasza pokusa. Znalazłem sposób dowiedzenia się. Tylko sza! nie mówmy o tém nikomu. Nasza kuzynka zdrowa wprawdzie jeszcze, ale — wygląda strasznie. Widziałem ją dzisiaj — zdawało mi się, że widzę chodzącą

śmierć, odzianą w atłasach. Bądźmy spokojni i cierpliwi, zdaje się, że się kończy nasza męka.

To mówiąc, głaskał ów przedmiot zamknięty w kunsztownéj szafeczce, i wtedy można było widzieć, że to był kawałek tynku, odłupany z facyaty kamienicznéj. — Była to cząstka legatu Stanisława, który z nim zawsze podobne prowadzi rozmowy. On to bowiem jest mieszkańcem téj tajemniczéj izdebki, a zmienił się od czasu jakeśmy go widzieli, do niepoznania. Znędzniały, wybladły i wyżółkły prawie, z oczami w głąb zapadłemi, nie był już podobnym do owego pięknego młodzieńca, który miał takie szczęście do kobiet. Zaniedbana garderoba, któréj miał tyle, co na sobie, dodawała jeszcze smutniejszego wyrazu jego fizognomii. Sposób jego życia teraźniejszy był jakiś rozpaczliwy. Przerwawszy zupełnie studya medyczne, i zerwawszy stósunki ze wszystkiemi znajomymi i przyjaciołmi, odsunął się od świata — nie żył w nim ani z nim; zamknął się sam w sobie, i najàwszy sobie mieszkanie na wsi u włościanina Grzywy, z którym znajomość zawarł w ten sposób, iż widząc go raz w mieście zaczepił go i zagadał jakoś szczęśliwie — zarabiał parę złotych tygodniowo przepisywaniem ról do teatru, robotą właściwą tym, którzy nic więcéj nie umieją, oprócz przepisywania — i chodził tylko raz w tydzień do miasta odnosząc dokonaną robotę i przynosząc nowy zapas dramatów i czystego papieru. Przepisywanie to zabierało mu 4 godziny czasu, resztę dnia, prócz nauki początków dzieciom Grzywy udzielanéj, poświęcał dziwnemu zajęciu się kabałami z kart, loteryą owego koła na środku izby przymocowanego, i czytania wreszcie różnych książek o czarnoksięstwie, którego chciał się nauczyć koniecznie, aby dowiedzieć się, kiedy umrze pani Ambrożowa. — To były jego zajęcia. Przy nich zdziwaczał i wydawał się prawie obłąkanym. Był nim nawet po części. W głowie bowiem jego zrodziła się jedyna, wyłączna idea odgadnięcia tajemnic przyszłości, którą śmiało ideą fixe nazwać możemy. Ona ogarnęła całe jego jestestwo, wszystkie myśli jego — i stała się potrzebą jego życia. Dla niéj poświęcił wszystko — nauki i pracę, przyjaźń i koleżeństwo — miłość zresztą i całe społeczeństwo. Był więc już pod pewnym względem szaleńcem, i tém się tylko różnił od kompletnego waryata, że ta idea fixe jego, nie mąciła mu zdrowych zmysłów i nie odbierała przytomności. Rozum, czucie nawet stępiały w nim zupełnie. Był to człowiek, którego nic nie obchodziło, oprócz śmierci pani Ambrożowéj, a poprzednio pewnéj wiadomości o czasie, w którym przypadnie. — Wróżby jego i prognostyki rozmaite dawały mu nadzieje. Raz karty przepowiadały mu, że wkrótce będzie pocieszony, że blisko już są pieniądze znaczne, to znowu wypadało z loteryi, że jeszcze bardzo długo czekać będzie musiał. Mimo tych sprzeczności Stanisław radził sobie w tych przepowiedniach w ten sposób, że je wszystkie spisywał, określając każdą pewną uboczną liczbą, a potém wyciągał z nich statystyczną liczbę przecięciową, która była dla niego stanowczym wyrokiem przyszłości. Przecięciowa ta liczba była bardzo często jednaką, co pochodziło z tego, iż liczby pojedyncze raz z kart, drugi raz z loteryi zmieniały się — Stanisław zaś widział w tém znak dobry, i wróżył sobie z swojéj szczęśliwéj piątki statystycznéj, jak najpomyślniejszą przyszłość. Dziś gdy powrócił z miasta, i rzucił jak widzieliśmy książki i papier na role, na stolik obok łóżka stojący, po przywitaniu z swym ukochanym tynkiem, przyniesionym w pewnym dniu bardzo szczęśliwych prognostyków kabalistycznych, zabrał się do czytania książki, którą kupił u żydka na Szpitalnéj ulicy, i odczytywał róździał po róździale. Na dziś wypadał róździał pod napisem: „Wróżki ludowe, ich znaczenie i ważność.“ —

— To piękny róździał, szepnął sobie uradowany szaleniec, i czytał.

Wstęp róździału był za rozwlekły i nudny — przeszedł go więc bez wielkiego zapału, ale gdy doszedł do miejsca, w którém jest mowa o tém, że często jedna cyganka więcéj powie prawdy o przyszłości, niż tysiąc ksiąg i kabalistycznych prognostyków — zatrzymał się, ustęp wzmiankowany odczytał poraz drugi i trzeci — i skończywszy na tém dzisiejsze czytanie, przemyśliwał nad tém, jakby tu dostać się do jakiéj wróżki i cyganki.

— Muszę widzieć cygankę jaką lub wróżkę wiejską. Z tego, co mi powie, wniosę téż o prawdzie moich rachub; — tak! muszę koniecznie poradzić się téj „prawdziwszéj często od kabał przepowiedni.“ —

I odtąd dudniało mu ciągle w głowie postanowienie widzenia się z wróżką i zasięgnięcia jéj zdrowéj rady. —

Z Grzywą pomówił jeszcze tego samego dnia w tym względzie.

— Ej, prosze pana, rzekł mu poczciwy wieśniak, jest tu nawet niedaleko stara baba Maryanna, ślepa; dawniéj nie szczególniéj ona żyła, teraz na starość zkądś jéj się wzięło guślarzyć i wróżyć. Cisną się tu do niéj różni ludzie, a ona wyłga od wszystkich pieniądze. Ale ktoby ta temu wierzył, co ona baje — toć przecie i grzech wierzyć w gusła.

— I czy téż nie spełnia się nigdy to, co ona przepowiada? —

— Czart ją tam wie, mój panie, ja się nigdy do niéj nie udawałem, chociaż moja koniecznie raz wysełała mię do niéj, żeby powiedziała, kto nam ukradł cielątko.

— Stanisławowi dość było tego objaśnienia. Postanowił pójść do Maryanny, tak jednak, aby nikt o tém nie wiedział. Obrawszy więc stósowną do tego porę, w parę dni wielkich niecierpliwości i niepokoju, zaszedł do chaty guślarki. Była ona komornicą u Wojciecha Kowala i mieszkała w ciemnéj, niskiéj i brudnéj izdebce, mając przy sobie młodą i dorodną dziewkę, która korzystając z ślepoty swéj matki, różne figle z gośćmi wyprawiała, szczerząc białe ząbki do panów, i naśmiewając się ze staréj kabalarki.

— Kto tam? zawołała figlarnym głosem Kasia, usłyszawszy pukanie Stanisława.

— Idę tu po radę do Maryanny, odrzekł cichym nieco głosem zapytany.

Kasia otworzyła drzwi, i witając uprzejmie gościa, podała mu zakurzony i połamany stołek, służący dla zacniejszych gości.

— Jest Maryanna? spytał się Staś, wpatrując się w figlarne oczka Kasi.

— Jest — odrzekła ona niezbyt głośno — ale śpi — czy ją obudzić?...

— Zapytanie to było tak kokieteryjne i namiętne, że inny na miejscu Stanisława byłby je wziął za silną pokusę i porwałby może ładne dziewczę za dość białe i drobne jéj rączki — i o całusa poprosił. Spojrzenie Kasi było rzeczywiście wyzywające. Stanisław zaś nie zwracał na to uwagi; gdyż jego cała namiętność zestrzeloną była w jednym punkcie kabały; — rzekł więc, dziewki uśmiechem bynajmniéj nie rozgrzany — zbudzić proszę, bo mam ważny interes.

— A to dobrze, rzekła na to leniwie przeciągając się Kasia — i zbliżywszy się do łóżka napchanego pierzynami, tak, że z pomiędzy nich nie widać było śpiącéj Maryanny – zaczęła budzić ją w sposób najrubaszniejszy i niegodziwy nawet.

— Héj! wołało rozzuchwalone dziewczę — stara wstawajcie — przyszedł tu do was jakiś pan; chce waszéj rady popytać. —

— Co? zapytała się chrapliwym głosem, zbudzona guślarka.

— Wstawajcie prędko, bo tu jakiś pan czeka.

— Czeka? — gdzie? tu, w izbie?

— A jużci, że nie na dworze. Wstawajcie, wstawajcie.

— No to podajże mi chustkę — mówiła dźwigając się z łóżka stara matka; a gdy Kasia rzuciła jéj chustkę prawie na głowę — okrywszy się nią i wziąwszy przy łóżku stojącą laskę, pokuśtykała ku oknu, przy którym stał mały stoliczek do jéj kabały i wróżbiarstwa służący. Wyglądała ona zupełnie jak czarownica. Oczy przymknięte — twarz pomarszczona, żółta, usta nabrzękłe, sine i prawie ciągle otwarte, głowa siwym włosem z rzadka pokryta i wzrost mały, przy którym jeszcze się garbiła, schylając swoją pełną tajemnic głowę na piersi. Widok takiéj kobiety, którąby każdego człowieka wstrętem i wzgardą natchnąć musiała — był dla Stanisława wcale pożądanym. On pragnął właśnie takiéj czarowniczéj charakterystyki.

— Gdzieżeś pan jest? spytała usiadłszy pod oknem — dajże mi pan swoją rękę, abym poznała, z kim mówię.

— Oto jest, rzekł na to Stanisław, podając jéj prawą rękę.

— Lewą, a nie prawą, poprawiła guślarka. Staś podał lewą.

— Aha — wiem, wiem — jesteś niespokojny, mój Panie. A czy to przypadkiem nie chodzi ci o śmierć jakiéj osoby?

— Badajcie daléj. Ja chcę wiedzieć...

— Dzień i rok, w którym ta śmierć przypadnie, dokończyła za niego.

— Prawdęście powiedzieli.

O! ja zawsze mówię prawdę, rzekła uśmiechając się wróżka, jeno ludzie nie lubią mię za to.

— Otóż więc pytam się was, czy będziecie mi mogli powiedzieć to, o co mi chodzi.

— O! nic trudnego — ale...

— Ja zapłacę, co będę mógł.

— Tak — ja wiem, że teraz nie możesz mi zapłacić wszystkiego, ale się nie boję — ja ci powiem kiedy mi resztę zapłacisz, mój Panie!

— Kiedy mi powiecie?

— Za pół godziny mój zuchu — jeno karty postawię, ale mi tymczasem nie bałamuć mojego brylancika — na którego może strzelasz już oczkami. —

Éj, cichobyście oto byli, stara; głupstwa pleciecie, a jedno się drugiego nie trzyma, ofuknęła ją Kasia siedząca w kącie izby na małym stołeczku i bawiąca się z czarnym kotem, który się rozwalał na jéj pudełku.

— No — no! nie gniewaj się ty na mnie, mój ptaszku mały; nie wiesz ty jeszcze dobrze, co tobie na świecie przeznaczono — a ludzi nie znasz, więc słuchaj mnie póki żyję; teraz zaś podaj mi karty. Kasia niedbale powstała ze stołeczka, wydobyła ze skrzynki talią zabrudzonych i zatłuszczonych kart, i zbliżywszy się do matki, cisnęła je znowu na stolik, mówiąc: Macie — wróżcie. Przechodząc spojrzała znowu filuternie na gościa, któremu jednak w głowie szumiało i huczało ciągle, bo za pół godziny miał się dowiedzieć tego, nad czém tak gorąco drugi rok pracuje. A wiarę w przepowiednie Maryanny czerpał już w pierwszém odgadnięciu jego myśli. — To przecież nie bagatela, myślał sobie, zgadła myśl moję. Któżby jéj powiedział? — Szkoda tylko, że mu na myśl nie przyszła Grzywina, która dość często z Maryanną się widywała i znała jego widoki i całą fiksacyą. —

Maryanna kładła kabałę.

— No — jeżeli więc chcesz wiedzieć, mój panie, to o co ci tak chodzi, to ja ci mogę wkrótce powiedzieć; dasz mi jeno włosy téj twojéj kuzynki — a na zadatek talara.

— Ale ja włosów nie mam.

— Postaraj się. Bez tego trudno będzie.

Staś zaturbował się.

— Nie turbuj się; łatwa to rzecz. Za parę złotych zrobi ci to służąca téj pani.

— Dobrze. Ale kiedy?

— Choćby dziś jeszcze — bo jak ci powiadam, mój panie, ja już wiem wiele — ale tobie trzeba wiedzieć wszystko; nie prawdaż?

— A tak — tak; ja chcę wiedzieć wszystko dokładnie.

— Daj więc talarka i bądź spokojny; idź po włosy, tu się tymczasem uczynią potrzebne przygotowania. —

Staś dał sześć złotych i przyrzekł nazajutrz przyjść z włosami pani Ambrożowéj.

W tym téż celu natychmiast poleciał do miasta, i przez stróża kamienicznego wywołał do siebie służącą pani Ambrożowéj. Rzecz się udała. Anusia przyrzekła mu natychmiast przynieść pakę włosów swéj pani, które zbierają się zawsze w toalecie, a wychodzą bardzo obficie przy czesaniu. Z rączki do rączki poszła facienda, Anusia cztery złote, a Staś paczkę włosów trzymał uradowany. Anusia poznała bowiem pana Stanisława — pamiętając go jeszcze, gdy za życia nieboszczyka pana bywał u nich. Lubiła go zaś, bo był ładny i grzeczny; zawsze jéj za poświecenie dawał kilkanaście groszy.

— Ale nie mów nic twojéj pani.

— O! nie bój się pan; nie można i nie warto prawie z nią mówić.

— Zła?
— Jak djablica,
— A zdrowa?
— Jak lew.
— Mówi też kiedy o mnie?
— Nigdy — zakazali jéj o tém myśleć lekarze. Gdybym jéj powiedziała żem dała panu jéj włosy, toby może ze strachu umarła.
— A to powiedz natychmiast, moja droga!
— Tak — a cóżby się ze mną stało? Wypędziliby mię, albo jeszcze gorzéj.
— Ja cię wezmę pod swoję opiekę...
— Ano to ta i prawda — rzekła zapłoniona trochę; ale jak nie umrze, jeno mię zbije i wypędzi? —
— To nie gadaj.
— Éj lepiéj nie gadać. Bądź pan zdrów. Muszę lecieć, boby się gniewała.
— Bądź zdrowa moja duszko. — Staś popędził zaraz z włosami do Maryanny.
— Są — są, wołał wchodząc do jéj świątyni tajemniczéj.
Maryanna siedziała przy stoliku. Kasi nie było w domu.
— No to dajże, mój panie! — Staś wręczył jéj pakę włosów.
— To siwe — aha! — Poznała, myślał Staś.
— No! jedna tylko jeszcze próba. Ogień! Ale wprzód daj co masz, mój panie. Staś wyjął wszystkie pieniądze. Było 7 złotych i coś tam groszy. — Oto są moje wszystkie pieniądze. —
— Mało — syknęła guślarka — ale cóż robić... dasz mi resztę mój panie po śmierci swojéj kuzynki. —
— Niech tylko wiem kiedy.
— Zaczekaj — zaczekaj! — To mówiąc pokuśtykała do kominka, i tam złożyła parę drewienek na stos i podpaliła go. —
Staś dziwił się z jaką to ona zręcznością robi wszystko, choć nie widzi.
— Muszę sama robić — mówiła dmuchając na rozpalające się drewienka. Moja córka latawiec — ledwo dorwała się paru groszy odemnie, już pewno tańczy w karczmie i pije... ale nic więcéj — o! jak Boga kocham nic więcéj. To święta cnota; i poczciwe to dziewcze, choć taka wietrznica. Ustatkuje się to, ustatkuje, ale jeszcze późniéj — teraz to jeszcze bardzo młode. Piętnaście lat ma — jak Boga kocham piętnaście. Jabym to rada umieścić w służbie, ale w jakim porządnym domu, żeby się nie zmarniła. Ale jeszcze i na to czas. — Rozpaliło się już — prawda?
— O już się pali dobrze.
— No to czekajże. — Teraz wrzucimy tu garść włosów — pozwól, ja tu chwilkę postoję sama, i pomówię parę słów z ogniem....
Staś z pokorą i wszelką uległością spełniał jéj wszystkie rozkazy. Chwilę nie wielką milczała stara, a potém mruczała coś pod nosem. Smród z palących się włosów rozszedł się po izbie.
— Czy czujesz tu trupa? spytała się cichym prawie szeptem nie głosem. Stasiowi zdało się istotnie, że poczuł coś podobnego.
— Zdaje mi się, że istotnie czuję.
— Nie udaje ci się, mój drogi panie — ale tak jest... Czekaj — ostatnie słowo... Raz — dwa — i nic więcéj... Jeszcze raz. — Raz! dwa!... i znowu nic więcéj. — No! mogę ci teraz powiedzieć, że za dwa lata — poczujesz ten sam zapach w pokoju twéj kuzynki. Ona za dwa lata umrze.
— Dwa lata!... Czy pewno? zapytał się ze łzami radości w oczach.
— Tak jest — wszystko za tém przemawia — i szelest ognia i świst wiatru — i ten zapach jeszcze nie zupełnie wyrobiony. Za dwa lata więc dopłacisz mi...
— O! dopłacę, dopłacę, wiele będziecie chcieli...
— Tyle tylko, aby z tego było wiano dla mojéj córki.
— Z całéj duszy, moja dobra Maryanno! To mówiąc podał jéj drżącą z radości rękę, którą ona uścisnęła.
— Bądź pewien i spokojny mój panie. Wyczytałam twoją przyszłość bardzo wyraźnie. Dawno tak wyraźnie nie mówił ze mną ogień, choć my się znamy dobrze. — Powiedz mi tylko, panie, czy wierzysz mi?
— Wierzę! rzekł Stanisław z mocą.
— No to już wszystko skończone. Twoja wątpliwość mogłaby popsuć całą przepowiednią.
O! wierzę, wierzę, wołał z coraz większym zapałem, i teraz jestem już szczęśliwy. Maryanna pożegnała go potém uprzejmie, polecając się jego pamięci — on zaś wyleciał uszczęśliwiony do domu, gdzie z radości potłukł oba kościotrupy, rozrzucił karty po podłodze — złamał tajemnicze koło loteryi — tylko księgę tę ucałował serdecznie, która mu wskazała drogę do prawdziwego szczęścia. Stanisław bowiem, był teraz prawdziwie szczęśliwym. — Szczęściem jego największém była wiara. Wiara w istocie uszczęśliwia. Kto wierzy, zbawion będzie, mówi Pismo święte. Stanisław wierzył ślepą i nieograniczoną wiarą. Nie zmienił jednak swego trybu życia; mieszkał u Grzywy, przepisywał role, ale był wesoły i coraz spokojniejszy, aż do czasu, w którym znowu zbliżający się termin przepowiedzianego szczęścia, nabawiał go tą samą niespokojnością, jakiéj doznawał w wigilią otwarcia testamentu. —

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ustęp z poematu

# „Jadwiga."

## IX.

Widziałeś kiedy dwie gwiazdy złączone,
Jakąś tajemną promienistą smugą,
Lecz nigdy jedna nie zejdzie się z drugą,
Bo przez miliony mil są rozdzielone.
Chyba gdy gwiazdy co na niebie płyną,
Strąci Wszechmocny w przepaści bezdenne,
O wtedy może te duchy promienne,
Samotne w życiu chociaż razem zginą!

Straszna to męka, straszniejsze katusze,
Kiedy dwa serca złączy miłość Boża,
A świat przedzieli przez lądy i morza,
I już na wieki rozłączone dusze!
I tak samotnie każda z nich popłynie,
Z krzyżem nad czołem i z cypresem w dłoni,
Z goryczą w sercu i z śmiechem ironii,
I ciemno będzie jéj w téj łez dolinie!



**Wojska moskiewskie.**

Czasem na szczycie boleści, cierpienia,
Wyciągnie ręce do tych chwil przeszłości:
O wróćcie złote sny mojéj młodości
O wróć urocze o szczęściu marzenie!
O powróć dobo różana, wesoła,
Powróć gorące, żywe serca bicie,
Z piekielnym śmiechem odpowie ci życie,
Że już pogasły gwiazdy twe do koła!

I pocóż marzyć? pocóż wskrzeszać mary
Tych lat różanych? O mary promienne
Do gwiazd powróćcie gdzieście się zrodziły!
Patrzcie dokoła wrą burze jesienne,
I chmury czarne tło nieba pokryły,
I na cmętarzu wiosny co minęła,
Smutne schylają czoło łzawe kwiaty,
Na zgasłém szczęściu wzniosła się mogiła!...

„Więc mnie porzucasz? o chwilo przeklęta,
Któraś me serce miłością natchnęła,
Przeklęta gwiazdo coś mnie prowadziła,
Któréj jam ufał, że wzniosła i święta!
Tyś to Jadwigo! czy pomnisz twe słowa,
Gdyś drżącym głosem miłość przysięgała?
O nie, tyś nigdy, nigdy nie kochała,
Tyś nie kobieta, ty tylko królowa!

Ty szydzisz sobie z przysięgi świętości,
Wszystkie uczucia pogrążyłaś w błoto,
Twoim bożyszczem jest to marne złoto,
A twém pragnieniem, pragnienie wielkości.
O bądź szczęśliwą na wyniosłym tronie,
Gdy twoim szczęściem, te złociste blaski,
Gdy twoim szczęściem, światowe oklaski,
Gdy ci swobodnie w brylantów koronie!...

„Boże, czyż można znieść męki tak wiele,
Panie ty sądzić będziesz moją duszę,
Ty znasz najlepiéj wszystkie moje cele,
Ty znasz o Boże całą mą katuszę!
Dla twéj miłości jam szczęściem wzgardziła,
Pod Twoim krzyżem stoję pochylona,
Bo skronie moje przygniata korona,
Którą Twa święta wola mi włożyła.“
I białe dłonie załamawszy obie,
Mówiła daléj w smutku i żałobie:
„Bądź zdrów Wilhelmie, to sam Bóg nas dzieli,
A jego wola niechaj będzie święta,
Ja zniosę mężnie te okrutne pęta,
I może mękę osłodzą anieli!
A gdy zbyt ciężką będzie życia dola,
Toż Bóg użyczy wkrótce może końca.
Przeniesię duszę tam do krain słońca,
Gdzie już nieznane boleść i niedola!
Bądź zdrów Wilhelmie, Bóg niech ci da siłę,
Zapomnij serce co cię tak kochało,
Zapomnij złote urojenia chwile,
Gdy się tak słodko niebo usmiechało!
Pójdziem samotnie po skalistéj drodze,
Ale z pogodném i wzniesioném czołem,
Chociaż je ciernie opasają kołem,
Mężni w boleści, niezachwiani w trwodze!
Bądź zdrów Wilhelmie, ciężka moja droga,
Ale ja nie drżę... wszak serce oddało,
Dla swego ludu i dla swego Boga,
Wszystko najdroższe co na ziemi miało!

Dokoła cisza na niebiosów łonie,
Łzawe gwiazdeczki migają samotnie,
„Bądź zdrowa! cicho po dolinie wionie,
Bądź zdrowa! echo powtarza stokrotnie.
I poszedł książę, została królowa,
I znowu drżące załamała dłonie,
I ku niebiosom mężne wzniosła skronie,
A echo jękło jeszcze: bywaj zdrowa!

Uriela.

# O zbytku.

Oto zbytek! woła tak bogaty jak biedny, woła wysoko położony jak nisko stojący, a jednakże jak rozmaite zapatrywanie się łączą z tém słowem nietylko pojedyńcze jednostki, ale każdy stan, każdy lud i każdy wiek. Co jeden za zbytek uważa, drugi używa tego jako codzienną potrzebę. Ze wzrostem oświaty, wzrasta także chęć zbytku, z którym równocześnie powstaje pytanie jego użyteczności. Pytanie to jest równie jak oświata dawném. Spotykamy się z niém już w starożytnéj Grecyi, gdzie, za i przeciw tworzyły się sekty, jak n. p. Cyrynejska i Cyników, Epikurejczyków i Stoików. Jedne, przy pojęciu o potrzebie używania roskoszy życia, oddawały się zabawom i przyjemnościom, drugie z całą surowością przestrzegały wstrzemięźliwości.

Kto niezna Diogenesa i jego beczki. Diogenesa, który odwiedzającego go Aleksandra prosił o to tylko, by mu ten słońca nie zasłaniał, a gdy widział dziecko czerpiące wodę rączką, odrzucił kubek jako naczynie zbytkowne. Heraklides, uczeń Arystotelesa przeciwnie, powiada, że zbytek jest źródłem szlachetności i męztwa; jemu to przypisuje zwycięztwo Ateńczyków pod Maratonem, bo tylko nim pobudzeni, nieprzyjaciela pokonali. Teologowie zbytek przeklęli i przedstawili go jako karzącą rękę ludzkości: i tak opisuje Dandolus, w swojéj kronice o Wenecyi, że żona pewnego Doży dumną była, iż pokarm brała nie palcami, ale złotym widelcem, za co za życia jeszcze cuchnęła. Pewien angielski historyk skarży się w swojéj kronice z r. 1577 na zbytek w Anglii, gdzie w krótkim czasie wiele nowych kominów powstało, i zamiast drewnianych półmisków metalowe wprowadzono. W późniejszych czasach Filangiery, Voltaire, Hume wystąpili jako zwolennicy zbytku, przypisując mu wzrost industryi i sztuk, widząc w nim sposób dania pracy robotnikom, upiększenie życia i złagodzenie obyczai; jako przeciwnicy Varburton i Rousseau przypisują mu złe użycie majątków danych ludziom przez Opatrzność; mówią oni, iż przez zbytek siła państwa, miłość ojczyzny i cnoty obywatelskie słabną, i że on dzieli dzieci jednego kraju na kasty i rozdział towarzyski spowodowywa. Tak to wielkie pytanie powtarza się przez wszystkie czasy, ludy i stany, przechodząc aż do najniższych warstw społeczeństwa. Stara matka, idąc do kościoła, spotyka dziewczę ubrane według najświeższéj mody, płacze i wzdycha za dawną prostotą stroju i obyczajów. Płacze ona, bo zapomina, że na staréj głowie niesie bogato ubrany kapelusz lub czepiec z długiemi na trzy łokcie wstążkami, któren, poprzednie pokolenie z równą skargą przyjęło. Zbytek dzisiejszy jest o wiele tańszy. Czasy fryzowania, pudrowania, noszenia kosztownych koronek i sprzączek u butów, szpad, złotem naszywanych ubrań już minęły. Przemysł daleko się posunął w wynalazkach zastępujących owe kosztowne przedmiota, jak n. p. wyroby bawełniane, muślinowe i imitacye drogich kamieni. Pojęcie o zbytku jest względne: stósownie do czasu, życia i stósunków towarzyskich rozmaite. Błędem jest bezwzględnie zbytek chwalić lub potępiać, ponieważ może on być nieprzesadnym i nieobrażającym dobrych obyczajów, ale również bywa przeciwnym, a wtenczas i zgubnym. Niewłaściwie przypisują mu upadek Rzymu albo Aten, ponieważ historycznie dowieść można, że ten nadzwyczajny i nakoniec zgubny zbytek, pod niejednym względem był pobudką do innnych objawów.

Ta różność wyników jest objawem koniecznym. U zdrowego narodu i zbytek zdrowym być musi; u upadającego chorobliwym i zgubnym. Dozwolony on jest wtenczas tylko, kiedy opiera się na wygodzie i przyjemności, ale zawsze w granicach oszczędności narodu, a właśnie dzisiejszy zbytek tém się odznacza. Wszedł on już dziś za progi człowieka niżéj społecznie postawionego i dozwolił mu używać tego, co przed paruset laty, zaledwie wyjątkom możliwe było. Jeżeli zbytek opiera się na sztukach pięknych, jak muzyka, rzeźbiar-

stwo, malarstwo i poezya, wtenczas jest obyczajnym i na życie narodu uszlachetniający wpływ wywiera. Nieobyczajnym zaś staje się, kiedy okupuje się kosztem potrzeb koniecznych. W Atenach n. p. coroczne uczty więcéj kosztowały, jak utrzymanie floty; gdzie wprowadzenie na scenę Euripidejskich tragedyi, więcéj za sobą kosztów pociągało, jak wojna przeciw Persom; nieobyczajnym nakoniec, kiedy li tylko chuciom ciała dogadza, kiedy zabawy jednostek nędzą wielu płaci się, albo kiedy niemoralne rozrywki w sprzeczności z moralnością stoją. Za czasów Werresa jedzono w Rzymie śpiewające ptaki lub same ich języki; konie wyścigowe musiały pochodzić z Hiszpanii, psy z Frygii, pawie z Samos, żórawie z Melos, ryba z Halcedonu, ostrygi z Taryntu, daktyle z Egiptu, orzechy z Tharos, kasztany z Betiki, ażeby drogością i trudnością transportu większą nadać wartość konsumowanym przedmiotom, w końcu ażeby jadłem drażnić zużyte podniebienie. Przy nadzwyczajnym wzroście dzisiejszego przemysłu i przy nadzwyczajném zbliżeniu najodleglejszych części ziemi, za pomocą kolei i statków parowych, n. p. kawa z Arabii, herbata z Chin, kawiar z Rosyi, cukier z Wschodnich a arak z Zachodnich Indyi, wino z Węgier, Francyi lub Hiszpanii, tytoń z Turcyi, cygara z Hawanny, nie są już zbytkiem nawet dla człowieka średniéj zamożności. — Zbytek jest koniecznym następstwem postępu rzemiosł, a zatém owocem wyższego rozwinięcia się narodu, które jest bodźcem do pozyskania dobrego bytu, a ten zaś do usilniejszéj pracy.

Zbytek dzisiejszy witamy radosnie, bo on to rozpowszechnia dzieła sztuki i nauki i czyni je przystępnemi nawet dla ludzi niezamożnych.

## Zbytek czasów ciemnych.

Zbytek tych czasów charakteryzuje się prostotą. Gospodarstwo narodowe rozwija się tak jak indywidualne. Własnością jest wzrostu oświaty, że ceny na płody rolnicze wznoszą się, a na dzieła przemysłu i rzemiosł obniżają. Handel narodu na niskim stopniu oświaty jest mały, skutkiem czego uczuwa brak produktów ziem odległych. Rzemiosła są słabo wykształcone i ich dzieła są maléj wartości i ograniczonéj ilości; z tego téż powodu zbytek rzuca się na festyny, na wielką konsumpcyą jadła i napoju, na niezliczoną ilość dworzan, wojennych i myśliskich koni, podczas gdy ich klejnoty tylko z błyszczącego oręża i z kosztownych naczyń do picia składają się. W jednéj z własności Karóla Wielkiego, znajdowały się z materyi lnianych tylko dwa prześcieradła, jeden ręcznik i jeden obrus. W naczyniach srebrnych waga a nie wyrób wartość stanowiły, tak jak mieszkania więcéj ciężko i trwale, niż dogodnie i elegancko budowane były. Starożytne, dziś jeszcze dające się widzieć zamki, mają zwykle mury nadzwyczajnéj szerokości, ale ani jednego pokoju wygodnego do zamieszkania.

W pałacu Alfreda W. musiano, z powodu przeciągów, ściany dywanami wykładać, a świece w latarniach nosić, ale za to wielka liczba służby przeznaczona była li tylko do ostentacyi. Książę Alba w pałacu swoim w Madrycie, nie miał ani jednéj porządnéj sali, ale w miejscu tego czterysta pokoików dla służących, które zarazem służyły za schronienie dla żon i dzieci téjże służby. Płacił on 1,000 funt. szterlingów a książę Medina-Celi 4,000 miesięcznych zasług. Przed rokiem 1812 wiele szlachty w Rosyi po 1,000 sług miewało, z których wielu zaledwie na dzień jeden zajęcie znaleść potrafiło. Biesiady, wesela, pociągały za sobą nadzwyczajny przepych, szczególnie co do wielkiéj ilości jadła i napojów. Na weselu Wilhelma, księcia Oranii, spotrzebowano 4,000 szefli pszenicy, 8,000 szefli żyta, 13,000 owsa, 3,600 wiader wina, 1,600 beczek piwa, weselni goście mieli 5,647 koni z sobą. Sultan Bajazet utrzymywał 7,000 sokolników. Za Jakuba Igo w Anglii bywali jeszcze posłowie utrzymujący 500 służby, ale za to sam król miał tylko jedną parę jedwabnych pończoch, które swemu ministrowi pożyczył, by ten mógł godnie przyjąć wysłańca francuskiego.

Na weselu księcia Eberharda wirtembergskiego, w r. 1474, było 14,000 gości. Na weselu księcia Ulricha wirtemb. było 1,511 osób, spotrzebowano 136 wołów, 1,800 cieląt, 2,759 kwiczołów. Jako przykład nadzwyczajny posłużyć może wesele księcia Wilhelma Rosenberga z Anną Maryą Badeńską, trwające od 26go stycznia do 1 lutego 1576 r., gdzie spotrzebowano 1,100 wiader węgierskich i niemieckich win, 40 beczek hiszpańskiego wina, 903 fasy piwa, 40 rogaczy, 50 gemz, 20 dzików, 50 fas solonéj zwierzyny, 2,130 zajęcy, 250 bażantów, 30 głuszczów, 2,050 kuropatw, 150 tucznych wołów, 26,688 małych ptaków, 561 cieląt, 2,308 kiełbas, 654 świń, 450 baranów, 395 jagniąt, 20 wędzonych wołów, 40 wędzonych skopów, 330 indyków, 5,235 gęsi, 18,120 karpi, 13,029 szczupaków, oprócz wielkiéj liczby innych ryb, 30,943 jaj, 490 szefli wytwornych krup, 42 centnary masła, 29 centn. szmalcu.

W Polsce, kiedy republikancka prostota obyczajów ginąć zaczęła, przesadzano się w wyszukiwaniu kosztownych napojów i zagranicznego jadła. Epokę tę stanowi początek wieku XVII, chociaż już i przedtém ku zbytkowi szlachta nie mały pochop okazywała. I tak dyaryusze z poselstwa do Walezyusza w Paryżu, opowiadają o nieznaném tam przepychu, z jakim poselstwo to Francuzom się przedstawiło. Rzędy, broń i lśniąca od złota odzież oślepiała wzrok cudzoziemców, a tłumy biegły za orszakiem, którego konie co kilkanaście kroków z umysłu złote podkowy gubiły. — Także przy ucztach i godach weselnych nie żałowano trunku i jadła, o czém dyaryusze i silva rerum niejednokrotnie świadczą. — Od czasów Władysława IV i Jana Kazimierza zbytek ten z dniem każdym wzrastał. — O domkach modrzewiowych, w których niegdyś nawet pierwsi dostojnicy państwa nie wstydzili się mieszkać, dawno już zapomniano, a drewniane naczynia do jadła, tylko w chatach wieśniaków przytułek znalazły. Nic w tém jeszcze nie byłoby dziwnego, gdyby cały zasób sił materyalnych i moralnych narodu, ku ulepszeniom li tylko tego rodzaju nie był skierowany.

Kitowicz, w nieocenionych pamiętnikach swoich, wymowny daje nam obraz ówczesnego stanu. „Za Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa“ wołała szlachta, a gdy August III na wpół pijany udawał się na spoczynek, zwykł był mawiać: „Północ! jestem pewien, że na całéj przestrzeni państwa, ja jeden nad całością granic jego przytomnie czuwam.“ Pito z rana, pito wieczorem i gdy zdrowiów niestawało, a trwała ochota picia, wymyślali rozmaite; takiemi zdrowiami jakby przez ironię bywały: prosperitas publica, salus publica i t. d. Kitowicz wspomina o Adamie Małachowskim, krajczym koronnym, wielkim zbytkowniku. Miał on u siebie w Bykowéj górze kielich wielki, półgarncowy, na którym wyrżnięte były trzy serca z podpisem: corda fidelium. Przy każdym spotkaniu zmuszał wszystkich do wypicia duszkiem tego olbrzymiego puhara. Z panów wielkich, mniéj sposobnych do pijaństwa, rzadko który odważył się nawiedzić krajczego, a jeżeli bytności wymagał jaki interes, to wprzód wyrobił sobie od niego rewers, nakształt salvum conductum, pod najcięższemi zaklęciami, jako do pijaństwa, a mianowicie do owego kielicha corda fidelium nie będzie przymuszany. Przecież razu jednego trafił na takiego, który go zwyciężył. Był to braciszek, kwestarz, bernardyn z klasztoru Wielkiéj Woli. Ten, czując się na siłach, będąc wyprawiony na kwestę, zajechał śmiało do krajczego, którego wszyscy inni kwestarze jak morowego powietrza unikali. Trafiło się to przed obiadem z rana. Krajczy rad, że mu taki gość dawno niewidziany wpadł w ręce, na pokorną prośbę braciszka o jałmużnę, zaraz

mu podał kondycyę: jeżeli duszkiem wypijesz ten kielich, wskazując na corda fidelium, każę ci naładować pełen wóz zbożem, a jeżeli od razu nie wypijesz, doleją ci go tyle razy, ile razy przestając pić, choć kroplę w nim zostawisz. Braciszek pokornie odpowiedział, iżby wolał być posilonym pokarmem jakim, niż trunkiem, ponieważ jest głodny. Krajczy natychmiast kazał dać mu jeść; przyniesiono tedy półmisek bigosu hultajskiego i karwasz pieczeni Zjadłszy certum quantum tego i owego, prosił o szklankę piwa, a tę wypiwszy, zaczął niby zabierać się do odejścia, jakoby z bojaźni kielicha nieśmiał już i o jałmużnę prosić. Krajczy wesół z jego bojaźni, rzecze: Nie bracie, z domu mego nikt wyjść nie może, kto weń pierwszy raz wnijdzie, póki tego kielicha nie wypije. Bernardyn z przymusem wziął kielich w obie ręce i zrobiwszy nad nim kilka krzyżów, uderzywszy się w piersi jako człowiek przymuszony, zaczął szybko łykać, ale jakby mu tchu zbrakło, odjął nagle od ust, zostawiwszy w kielichu z półkwaterki wina. Ho! ho! nie dopiłeś bracie, zawołał krajczy, dolejcie mu, dolejcie. Hajducy na rozkaz pański skoczyli do bernardyna z flaszami, ten zaś wypiwszy do zeszty, począł uciekać, pokazując kielich próżny. Nic to nie pomoże, bracie, znowu krzyczał krajczy, nie wypiłeś duszkiem; złapcie go i nalejcie pełen. Osaczony bernardyn, jak niedźwiedź w kniei, odetchnąwszy kilka razy, począł doić drugi kielich wolniejszemi łykami i znowu trochę niedopił. Niedopiłeś księże, krzyknął krajczy, dolejcie mu. Bernardyn na kolana i w prośby, lecz gdy nic nie pomogło, przyłożył się do trzeciego i jak pierwsze dwa niedopił trochę; krajczy kazał mu znowu dolać, a bernardyn, z grymasami niby, sześć razy tę scenę powtórzył. Krajczy widząc, że księżyna ani z nóg niespada, ani cery nie mieni, poznał, iż z niego żartuje, kazał go więc za drzwi wypchnąć. „A to filut jakiś, a wzdyćby on mi całą piwnicę wypił. A to bernardyni filuty z umysłu, na szyderstwo ze mnie, takiego mi pijaka, z końca świata wyszukanego, przysłali. Ochłonąwszy z gniewu, kazał zobaczyć co się z księdzem dzieje. Doniesiono mu, że wsiadł na wóz dobrze, bez najmniejszéj omyłki, i pojechał. Udobruchało to krajczego, tak że kazał skoczyć na konia i dogonić kwestarza, a gdy przybył wyasygnował mu kilka korcy zboża.

Przytoczyliśmy jeden z tysiącznych przykładów które nam kroniki przekazały, do jakiéj zwierzęcéj doskonałości w jadle i piciu doszli ówczesni Polacy. W całéj Polsce, czyli raczéj w każdym dworze szlachcica polskiego festyny nieprzerwanym szły ciągiem. Hulano i tańczono, jeżeli trunek jeszcze w całości siłami ciała nie owładnął, kiedy równocześnie nieprzyjaciel ojczyznę plądrował i kmieć na spustoszałych zagonach marł głodem. A do jak wysokiego stopnia sadzono się na próżną i zbytkową ostentacyą, to widzimy z tego, że szlachta służąca różnym panom i pankom, słusznie mogła się nazywać stanem, od innych stanów oddzielnym, bo liczba jéj do niesłychanéj wysokości doszła. Nie było szlachcica w jednéj wiosce, któryby nie chował dworskiego, respektowego, lokaja, hajduka, pachołka, pajuka, węgrzynka, hussara, strzelca, pazia, turczynka, laufra, stangreta, forysia, szafarza, kredencerza, mastalerza, kucharza i t. d. Wszyscy ci w większéj części byli to darmozjady, służący do utrzymania decorum godności szlachcica, a każdy dworzanin bez funkcyi w przecięciu 400 złp. rocznych zasług pobierał, co wówczas było sumą wcale nie małą. — Książę Karól Radziwił miał dwór, licząc w to straże przyboczne, wynoszący do 12,000 ludzi — Cóż więc dziwnego, że przy takich wydatkach brakło pieniędzy na wojska Rzeczypospolitéj, na szkoły, bo i pocóż szkoły, kiedy i bez nich można było wygodnie i wesoło, na dworze pana bez pracy życie spędzić. — Do jak wysokiego stopnia rozstrój społeczny, bezmyślny zbytek i hulanka z zapomnieniem o wszystkiém ówczas doszła, posłużyć może przykład, że król i dwór jego pozbawiony bywał najpierwszych potrzeb kuchni, a Korybut nie posiadając własnego majątku, udawał się z prośbą o wsparcie do prywatnych osób.

Przy téj ogromnéj konsumpcyi, a zarazem i niewstrzemięźliwości, która jest piętnem niskiéj oświaty i która przy każdéj okoliczności objawia się, widzimy równocześnie największą prostotę. Jakeśmy to już wyżéj powiedzieli, rozwój w indywiduach przechodzi te same koleje, co i w całym narodzie. Zdarza się dziś często, że ogólny stopień oświaty stoi wysoko, pojedyńcze jednak stany pojęciami swemi należą jeszcze do średniowiecznych czasów. Podobny stan znajdujemy u chłopów po wsiach. W jednéj z nich n. p. w r. 1857 na weselu zamożniejszego nieco chłopa, spotrzebowano 2 woły, 6 cieląt, 3 świnie i 15 tuczonych gęsi. Jakże często podobne przykłady spotykać się dają w stanie naszych obywateli wiejskich! Ile naszych milionów pozostało na ulicach Berlina, Drezna, Homburga i Paryża! Ile majątków skutkiem li tylko bezmyślnego zbytku, przeszło w ręce obce!

Niema pewniejszego środka osłabienia narodu i przyprowadzenia go do agonii, jak wywłaszczenie jego posiedzicieli i przeniesienie własności gruntowych na obcych. Gdzie się to dzieje przemocą i gwałtem, niema kogo obwiniać, ale gdzie się to dzieje prawnie przez niedołężność i zbytek krajowców, tam ich przekleństwo ojczyzny ściga. Zdrajcy zaprzedają kraj cały, nierządni lub zbytkowni właściciele ziemscy przedają go po kawałku. Trudno jednych i drugich nie policzyć do téjsaméj kategoryi zbrodni, choć z różnym ciężarem obciążonego sumienia.

Dalszy ciąg nastąpi.

# ROZMAITOŚCI.

## Wojsko moskiewskie. (Z ryciną).

W chwili kończącéj się krwawéj wojny na Zachodzie, nie bez interesu będzie przedstawienie czytelnikom nowych aktorów, przygotowywującego się nowego dramatu. Temi nowemi aktorami są wojska moskiewskie, gdyż według układających się spraw polityki europejskiéj i według słów wypowiedzianych, jeszcze przed wojną duńską, przez generała Moltke, następstwém pomyślnéj wojny z Francyą, być musi wojna z Moskwą. I Moskwa ewentualność tę odczuwa, czego dowód mamy w jéj publicystyce, która dla wzmocnienia sił swoich, Sławiańskie ludy do zgody wzywa. Organizacya wojska moskiewskiego, tak jak i całego państwa na niskim stopniu stoi. Brak mu wykształcenia, na którém taktyka i strategia dzisiejsze stoją — brak udoskonalonéj broni brak oficerów, słowem brak tego wszystkiego, czém dziś Niemcy potężną Francyę zwyciężają. —

Zewnętrzny obraz wojsk ich mile oko uderza. Ubranie gustowne, swobodniejsze i fantastyczniejsze od jednostajności pruskiéj, ale są to tylko zalety pozorne, które w niczém rzeczywistéj wartości nie podnoszą. Wszystkie bronie, wraz z właściwemi tylko Moskwie rodzajami, jak Kozacy, Kałmucy i t. d. na rycinie są przedstawione.

## Zagadka.

Który to wyraz taki,
Co mieści w sobie dwa ptaki,
Zwierza wielkiego,
I jeszcze napój do tego,
Zdrobniale zwany
Gdy jest lubiany.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 45: *Libell*).

## Korespondencya Redakcyi.

Pani N.! N. w Inowrocławiu: Pragnęlibyśmy zadosyćuczynić Jéj życzeniom — ale, otwarcie oświadczyć musimy, że dla pisma naszego nie jest przydatny. — Panu Xenofontowi w Poznaniu: Pan ma swoją racyę, my zaś swoją. Powodu urazy nie widzimy. — Panu Ksaweremu K. w Mysłowicach: Dziękujemy za pamięć. —